

Opowiadanie wyróżnione w konkursie „Esperanto łączy ludzi”

POWRÓT DO CZARNOŚCI

LECH
BACZYŃSKI

Lech Baczyński

Powrót do czerności

Opowiadanie [wyróżnione w 7. edycji konkursu literackiego](#) „Esperanto łączy ludzi” (listopad 2017 r., temat wiodący edycji: „Esperanto – mój kolorowy świat”) i opublikowane w antologii „Bjalistokaj kajeroj no 7” w dwóch wersjach językowych: po polsku i w esperancie.

Więcej opowiadań znajdziesz na stronie baczynski.com

Wersja 1.1

© Lech Baczyński

Wszystkie prawa zastrzeżone

Pociąg Warszawa-Białystok mknął do tunelu. Gdy czarna przestrzeń zamknęła się nad nim, poczułem, że powietrze przeszły dziwne wibracje. Zerwałem się z miejsca, wypuszczając smartfon z ręki. Ogarnęła mnie nagła senność. Straciłem przytomność.

Obudziłem się na twardej, pomalowanej na żółto ławce w małym parku, pełnym soczystej zieleni. Byłem zziębnięty, wilgotne ubranie nieprzyjemnie chłodziło ciało. Obejrzałem ręce i nogi, wypatrując plam krwi, obmacałem tułów i głowę – nie byłem ranny, nic mnie nie bolało. W brzuchu burczało. Czuję, że żołądek kurczy się jakby coś go ścisnęło. Poszedłem szukać sklepu z jedzeniem. Ulica była wybrukowana kocimi łbami. Otaczały mnie niskie domy i staroświeckie seledynowe latarnie. Pomyślałem, że to musi być zabytkowa część jakiegoś miasteczka, stylizowana na dawne lata. Usłyszałem turkot za sobą. Minął mnie wóz z desek w kolorze brudnej umbry. Woźnica był ubrany w staromodny płaszcz i granatowy kapelusz.

Dotarłem do budynku, który wydawał się być sklepem spożywczym. Z trudem dało się odczytać wyblakłe litery na żółtym tle nad wejściem, ale widziałem, że na pewno nie był to polski alfabet. Wszedłem.

Za ladą młody chłopak pisał ołówkiem w zeszycie. Mógł mieć kilkanaście lat, nie byłem w stanie określić ile dokładnie. Miał na sobie białą koszulę, wsadzoną w granatowe spodnie, i niemodną kamizelkę. Co za dziwne miasto.

Rozejrzałem się. Na hakach wisały pęta kiełbas, w zbitych z nieheblowanych desek skrzyniach leżały warzywa a bochny chleba na półce były większe niż te, które kupowałem zazwyczaj w hipermarkecie - elegancko pokrojone i zapakowane w foliowy worek.

– Dzień dobry – powiedziałem. Chłopak nie zareagował. Powtórzyłem głośniejszym głosem, nadal nic. – Hi, hello? – spróbowałem. – Guten Morgen! Bonjour! – Cisza. – Bonan tagon! – palnąłem z głupia frant, przywołując swój mierny zasób esperanta. Chłopak za ladą drgnął.

– Dzień dobry – odpowiedział po polsku z lekkim obcym akcentem. – Przepraszam musiałem coś zanotować. Co pan powiedział przed chwilą?

– „Dzień dobry”.

– Ale później?

– Hello? Bonjour? Bonan tagon?

– O właśnie, to ostatnie, co to znaczy? Nie znam tego języka.

– „Dzień dobry” w języku esperanto. Mogę prosić chleb i pęto kielbasy?

Nie wiem czy nie usłyszał mojej prośby czy tylko udawał.

– Esperanto? A co to za język? – odpowiedział.

– Taki międzynarodowy, żeby się ludzie porozumieli, Esperanto znaczy „mający nadzieję”. To sprzedasz mi tą kielbasę i chleb w końcu?

– No, to ciekawe, ciekawe... – Wydawał się znowu zamyślony.

– Hej, głodny jestem!

– Przepraszam, zaraz podam. Wie pan, nie mam jeszcze wprawy w byciu subiektem, dopiero od wczoraj... Taka wakacyjna praca żeby do kieszonkowego dorobić. Przepraszam, mam pytanie...

– Chłopaku, burczy mi w brzuchu.

– Już podaję. Mam na imię Ludwik, Ludwik Łazarz, nie musi pan do mnie mówić „chłopaku” – powiedział urażony, kładąc na ladzie pęto pachnącej wędliny i wielki bochen chleba.

Nadgryzłem kielbasę i zacząłem szukać portfela. Przetrzałem kieszenie. Gdzieś przecież musi być. Ludwik zapisywał coś w zeszycie.

– Mówi pan, że jak się ten język nazywa?

– Esperanto – wymamrotałem niewyraźnie, jednocześnie odgryzając kawałek chleba.

– Dziwna nazwa, jakbym stworzył uniwersalny język, to bym go po prostu nazwał... Hmm... może Lingwe Uniwersala albo Internacia.

Wzruszyłem ramionami.

– Może pan coś jeszcze powiedzieć w tym języku?

Zastanowiłem się przez chwilę. Mój zasób słów był niewielki. Coś mi się jednak przypomniało

– Litvo! Patrujo mia! simila al sano...

Zobaczyłem, że rozpoznaje ten fragment, w końcu to klasyka.

– Patro nia, kiu estas en la ĉielo... – dukałem z pełnymi ustami.

Chłopak zapisywał wszystko w zeszycie .

– No ciekawe – mruknął do siebie – ja to bym jednak zrobił trochę inaczej.

Znalazłem w końcu w kieszeni pomięty pięćdziesięciozłotowy banknot z Kazimierzem Wielkim i położyłem na ladzie.

– Co to ma być?

– No... pieniądze? Za jedzenie.

– Zagraniczne jakieś? Na pewno nie tutejsze, ani pruskie, ani austro-węgierskie.

Wziął banknot do ręki, przeczytał napis „Narodowy Bank Polski” i szeroko otworzył oczy, wpatrując się we mnie.

Ja byłem nie mniej zdziwiony.

– Austro-węgierskie? Chłopcze, co ty mówisz?

Nagle moją głowę przeniknęła przerażająca myśl. Wszystko zaczęło układać się w całość.

– Gdzie jestem? – wyjąkałem, blednąc. – I jaki mamy rok?

– No jak gdzie, w Białymstoku, jest rok 1872.

Pociemniało mi przed oczami. Poczułem, że lecę w dół.

Obudziłem się, ale widziałem tylko smolistą czernią. Czułem kołysanie na boki, jak w pociągu.

– Ach, więc to był tylko straszny sen, albo majak jakiś chory... Może się w głowę walnąłem. Dobrze, że to się skończyło – mruzczałem pod nosem pocierając obolałą potylicę

.

Nagle pojazd stanął. Usłyszałem parskanie koni. Po chwili zasłona z grubego sukna odsunęła się ukazując zakratowane okno i wąsatą twarz. Mężczyzna miał na głowie czarne kepi i przypominał carskiego żołnierza z ilustracji, które widziałem kilka lat temu w jakiejś książce. Odezwał się po rosyjsku. Niestety prawie nie znałem tego języka. Żołnierz mówił do mnie, ale nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Wyłowiłem tylko kilka zrozumiałych słów – fałszywyj, diengi, polskij anarkist, tiurma, Sibir.